

## **Szymon Opryszek „Wisła Stories”**

**Wyruszyłem w podróż po Wiśle, by wraz z moimi rozmówcami poczuć królową polskich rzek wszystkimi zmysłami. Wspólnie płyniemy, pedałujemy wzdłuż jej brzegów, brodzimy w poszukiwaniu nielegalnych ścieków i rozmawiamy o zagrożeniach czyhających na rzekę, by przede wszystkim spróbować odpowiedzieć na pytanie, co Wisła mówi nam o nas samych.**

### **Kilometr 0. Mity, czarownice i granice**

Blaszana tablica informuje, że to „Kilometr zerowy Wisły”. Przysiadam nieopodal na brzegu, gdzie Przemsza uchodzi do Wisły. To tutaj zaczyna się żeglowny szlak Wisłą. Dla mnie to pretekst, by odpocząć nad jej brzegiem z „Biografią Wisły” autorstwa prof. Andrzeja Chwalby.

„Poczęcie Wisły dokonuje się wśród świstu – półświstu wiatrów zachodu, przypadających na jasne mgły w kwiecistych tatrzańskich dolinach sosnowych w szerokiej puszczy Beskidu” – czytam słowa Stefana Żeromskiego przypomniane przez biografę rzeki, która swoje źródła ma na stokach Baraniej Góry.

Przez prawie tysiąc kilometrów ta, jak pisze Chwalba, „labilna, trochę swawolna, nieprzewidywalna, kapryśna” rzeka będzie kluczyć w swoim nieśpiesznym biegu przez kraj. „Wisła jest historyczną osią, matką rodzicielką i płodną matką dziejów na tym obszarze” – napisał Wincenty Pol w książce pt. „Historyczny obszar Polski”.

To nad Wisłą powstawały grody, tworzyły się szlaki, rozrastała gospodarka. Przez całe wieki dawała pracę i chleb. Niekiedy łączyła, często dzieliła (była choćby rzeką graniczną między Austrią, a Królestwem Polski). Nie tylko dawała życie, ale i je zabierała (była miejscem kaźni podczas egzekucji przestępców lub... kobiet uznanych za czarownice – i to do połowy XVIII wieku). To nad nią tworzyła się historia, rodziły się mity i opowieści. Dlatego ruszam szlakiem Wisły, by zastanowić się nad tym, co rzeka mówi nam o nas samych.

### **Kilometr 66,4. Gdzie się podziały tamte jesiotry?**

– Źródła historyczne podają, że za panowania królów w Krakowie, latem na Wawelu zamykano okiennice, bo potężne jesiotry wyskakiwały z Wisły, powodując taki huk, że nie dało się spać – opowiada mi Paweł Chodkiewicz, aktywista wodny z Krakowa. – Jeszcze w połowie ubiegłego wieku w rzece żyły łososie i trocie, a rzeka tętniła życiem.

Jeszcze jako dzieciak Chodkiewicz zaczął pasjonować się wędkarstwem muchowym, z pomocą przynęt imitujących owady brnął po pas w wodzie. Dziś ma 26 lat, studiuje medycynę, a codzienne obcowanie z katastrofalnym zanikaniem ryb i owadów w rzekach, sprawiło, że zaangażował się w ich ratowanie.

– Stan Wisły pogarsza się z roku na rok. Wyginęły świnki, brzany, których kiedyś były miliony. Na wysokości Krakowa rzeka „płyń” między progami, ale przypomina bardziej zamulone stawy przepływowe. Od późnej wiosny do końca jesieni to po prostu szarobury ściek, który zaczyna być opanowywany przez sumy, karpie i gatunki inwazyjne jak babki, czebaczki amurskie, co nie ma nic wspólnego z prawidłowym stanem ekologicznym rzeki – grzmi aktywista.

Przedzieramy się przez zarośla nad Wisłą nieopodal progu wodnego Kościusko przy ujściu rzeki Sanki. To symboliczne miejsce na mapie Krakowa. Po jednej stronie mostu znajduje się siedziba Wód Polskich, z drugiej Zakład Uzdatniania Wody Bielany, który pobiera wodę z Sanki. Chodkiewicz zanurza tester jakości wody w tej rzeczce i wzdycha z ulgą. Normy nieprzekroczone. Ale ledwie kilkadziesiąt metrów dalej do Wisły wpadają dwa dopływy, przypominające, wybetonowane kanały ściekowe. Aktywista nie może uwierzyć, jak bardzo są zanieczyszczone. Nad nimi unosi się specyficzny smród chemii ściekowej, który podrażnia zmysł węchu. Woda jest szara, pienia się, typowy ściek. Jeszcze dalej, gdy badamy jakość wody w Wiśle też nie ma tegiej miny.

– Zasolenie wody w Wiśle rośnie z roku na rok – mówi. – Powody? Zrzuty zasolonych wód kopalnianych ze Śląska i surowych ścieków z podkrakowskich oczyszczalni, w końcu wahania wody spowodowane działalnością elektrowni na stopniach. No i sam fakt, że wyprostowaliśmy Wisłę, zabetonowaliśmy, próbowaliśmy ujarzmić królową polskich rzek jak i jej dopływy. Wody jest z roku na rok coraz mniej, smutna prawda jest taka, że ścieki, które nie powinny tam płynąć, nie mają się w czym rozcieńczyć i sięją przez to większe spustoszenie. Efekt jest taki, jak widzimy i czujemy.

### **Kilometr 77,22. Zatykamy nosy nad rurami**



Ale to jeszcze nic, bo w ścisłym centrum Krakowa zatykamy nosy z widokiem na Wawel. Spacerujemy z Chodkiewiczem po nadwiślańskich bulwarach w poszukiwaniu rur ściekowych i przelewów burzowych.

– O! Tu zbliżamy się do przelewu, w którym płynie paskudny ściek. Gdy popada deszcze dookoła roznosi się niebotyczny smród chemii – wskazuje aktywista miejsce, gdzie po wodzie dryfują tampony, pozostałości po papierze toaletowym, mokrych chusteczkach. – Popatrz tutaj, barki hotelowe i restauracja, a ledwie kilka metrów dalej wypływają ścieki z kanalizacji ogólnospławnej. Kilka lat temu, gdy zaczynałem przygodę z aktywizmem nie zdawałem sobie sprawy, że żyjemy w czasach, że coś takiego wpada do Wisły. Nie miałem pojęcia, że to możliwe w XXI wieku. Najgorsze jest to, że to żaden ewenement w skali kraju, to ogólnopolska reguła I z każdym kolejnym miejscem zrzutu surowego ścieku do rzek jestem załamany, że nikt nie ma nad tym kontroli.

Podczas intensywnych opadów w Krakowie ścieki z kolektorów burzowych, zarówno przy bulwarach w okolicach Wawelu, jak i choćby przy stopniu wodnym Dąbie wpadają do Wisły. Wodociągi Miasta Krakowa się bronią: zgodnie z obowiązującymi regulacjami ścieki wraz z wodami opadowymi z

przelewów burzowych mogą być wprowadzane do śródlądowych wód powierzchniowych płynących, wód przybrzeżnych oraz wód przejściowych, jeżeli średnia roczna liczba zrzutów z poszczególnych przelewów nie jest większa niż dziesięć.

„W przypadku braku przelewów burzowych, nadmiar opadów powodowałby wylewanie mieszaniny ścieków sanitarnych oraz wód deszczowych na tereny zamieszkałe, a sytuacja taka stanowiłaby realne zagrożenie” – argumentuje Robert Żurek, rzecznik prasowy krakowskiej spółki. Ale aktywista uważa, że w rzeczywistości zrzuty surowego ścieku mają miejsce praktycznie po każdym opadzie deszczu. W ich efekcie na kratkach kolektorów zwisają papier toaletowy czy nawilżane chusteczki, a po okolicy roznosi się smród fekaliiów.

– Poza miejskimi kolektorami do Wisły są jeszcze prywatne posesje. Kilka procent gospodarstw wciąż nie ma dostępu do kanalizacji, zdarzają się tacy mieszkańcy, którzy nie przejmują się ewentualnymi karami i zrzucają ścieki wprost do rzek, potoków i rowów. W Krakowie to pojedyncze przypadki, ale już pod miastem to jazda bez trzymanki!

Podczas społecznego monitoringu podkrakowskiej rzeki Prądnik Chodkiewicz z wolontariuszami naliczyli dwanaście nielegalnych wysypisk śmieci i ponad sto rur uchodzących do rzeki. Jak się potem okazało, odpowiednie służby potwierdziły, że większość z nich nie ma odpowiednich pozwoleń, czyli są nielegalne.

– Przykładowo jeden gość miał rurę bezpośrednio podpiętą bezpośrednio z łazienki, a ścieki płynęły prosto do Prądnika. A to przecież rzeka, która meandruje przez Ojcowski Park Narodowy! – rozkłada ręce aktywista. Dlatego zaangażował się w założenie portalu zglosrure.pl, gdzie każdy zaniepokojony obywatel może zgłosić nielegalny zrzut ścieków bezpośrednio do rzek.

– Problemem są też mniejsze oczyszczalnie ścieków, które przypominają atrapy. Regularnie dochodzi w nich do tzw. zrzutów awaryjnych. Jednym rynsztokiem woda opadowa i woda ściekowa z domów, czyli kanalizacja ogólnospławna – mówi Chodkiewicz. – Przykład Krakowa też jest ciekawy. Według badań ileś tam milionów litrów jest przyjmowane przez oczyszczalnię, a wiadomo, że mieszkańcy i turyści produkują drugie tyle. Co się dzieje z resztą? Najprawdopodobniej trafia do rzek. Wystarczy iść na ryby po takich „awaryjnych zrzutach”. To paskudne doświadczenie. Nie raz wyciągałem żyłkę oblepioną papierem toaletowym, chusteczkami czy włosami łonowymi. Nie muszę badać dna Wisły, by wiedzieć, że jest ono wybrukowane nieczystościami. Istny mordor, jak by się do Indii pojechało.

– Jak możemy pomóc Wiśle? – pytam Chodkiewicza na koniec wyprawy szlakiem rur ściekowych. – Powinniśmy zadbać o jej dopływy. Żeby ryby, mogły w tych potokach, które są dużo łatwiejsze do renaturyzacji i uzdrowienia, mogły w nich bytować. Wiem, że ludzi to nie przekona. Bo kogo obchodzi ryby. To pomyślcie o sobie samych. Skażona fekaliami, lekami, narkotykami, hormonami, mikroplastikami płynie przez nasze miasta. Czy oczyszczalnie w ogóle potrafią to oczyścić? Czy badamy tą wodę? Czy w XXI wieku wiemy, co ona zawiera?

Wyniki najnowszych badań naukowych z całego świata wskazują, że woda w kranach pomimo oczyszczania i uzdatniania, w wielu przypadkach zawiera te substancje chemiczne, oczyszczalnie ścieków również nie potrafią oczyszczać ich efektywnie do zera.

## Kilometr 79.73. Piłka nożna a sprawa Wisły

Badania jakości Wisły z 1871 roku pokazywały sześć, siedem miligramów soli na litr wody. Z kolei w latach 70. ubiegłego wieku zasolenie wzrosło do 1000-1500 miligramów. O ile przez całe wieki gospodarka Polski nie wpływała na stan Wisły, to potem szybka industrializacja regionu (kopalnie na Śląsku czy Nowa Huta) wpłynęły na jej stan.

Prof. Chwalba w „Biografii Wisły” przytacza nawet słowa Zbigniewa Herberta z wiersza „Prolog”: „Rów, w którym płynie mętna rzeka nazywam Wisłą”.

Dziś Wodociągi Miasta Krakowa prowadzą regularne analizy próbek chwilowych wód rzeki Wisły. „Dla wartości średniorocznych w latach 2010-2023 zauważalny jest trend rosnący przewodnictwa. Na zawartość zanieczyszczeń w wodach płynących wpływ mają zarówno warunki atmosferyczne jak i zanieczyszczone wody i ścieki odprowadzane do rzek w zlewni Wisły” – czytamy w komunikacie rzeczownika prasowego spółki. Ale gdy spojrzeć na maksymalne wartości roczne przewodnictwa właściwego w ostatniej dekadzie kilka razy były 1,5, a nawet dwa razy wyższe niż średnia! Dlatego ostatnio w Krakowie ruszyły także społeczne monitoringi jakości wody w rzece.

– A może pogadamy o piłce nożnej? – zaskoczyła mnie Kiranmai Uppuluri. Spotkałem się z inżynierką środowiska z Indii, by porozmawiać o kulturowym aspekcie rzek. W trakcie pracy nad książką „Woda. Historia pewnego porwania” śledziłem przypadki przyznania osobowości prawnej rzekom. Zazwyczaj, jak w Nowej Zelandii, Kanadzie czy Kolumbii wiązały się one z obecnością na danych terenach ludów rdzennych. Podobnie było w Indiach, gdzie władze stanu Uttarakhand uznały Ganges i dopływ Jamuna za istoty żywe, posiadające „status osoby obdarzonej moralnością”.

– W naszej kulturze modlimy się do rzek i prosimy je o opiekę nad nami o błogosławieństwa, odbywają się rytuały związane z wodą – mówi Uppuluri. – Mój ojciec powiedział mi kiedyś, że jeśli ktoś prosi cię o wodę, a ty ją masz, po prostu nie możesz odmówić. Musisz podzielić się wodą, bo woda to życie i należy się każdemu.

– Ale co z tą piłką nożną? – dopytuje Kiranmai. Inżynierka z Indii studiowała w Belgii, Holandii, Czechach, a kilka lat temu zamieszkała w Krakowie. Pracuje w sieci badawczej Łukasiewicza, dokładnie w Instytucie Mikroelektroniki i Fotoniki, gdzie nad sensorami, które monitorują jakość wody i łącząc się z aplikacją mobilną alarmują o zagrożeniu w czasie rzeczywistym.

Kiranmai: – Mój brat mieszka w Indiach i oglądał wczoraj ten sam mecz, co ja. Co więcej, to samo widowisko można było obejrzeć w Ameryce Południowej. Mamy tę technologię: możemy zbierać dane Marsa albo właśnie oglądać mecze piłkarskie, wszystko w czasie rzeczywistym. Ale nie mamy danych na temat wody! Tak samo powinien działać system monitoringu wody. Czy strzelane gole są ważniejsze niż woda, dzięki której możemy funkcjonować?

Sensory, nad którymi pracuje Uppuluri wykorzystują tlenki metali, które reagują na obecność jonów w wodzie i generują ładunek elektryczny. Czujnik można łatwo podłączyć do układu elektronicznego, który mierzy sygnał i przesyła dane bezprzewodowo do komputera lub smartfona.

– W większości miejsc na świecie badanie wody opiera się na laboratoriach. Załóżmy, że pracuję dla agencji ochrony środowiska. Chcę wiedzieć, co się dzieje w Wiśle. Pójdę nad rzekę, pobiorę próbkę wody, przyniosę do laboratorium i zbadam. W tym celu muszę przede wszystkim wiedzieć, jak pobrać

próbkę. Muszę wiedzieć, jak przetestować próbkę. Muszę mieć laboratorium z zaawansowanymi maszynami, żeby to przetestować. Kiedy zbieram wodę i zanoszę ją do laboratorium, zmienia się społeczność drobnoustrojów wewnątrz, temperatura i tak dalej. Dlatego lepszym sposobem jest udanie się bezpośrednio nad rzekę i sprawdzenie jakości wody za pomocą przenośnego czujnika, a następnie przesłanie danych za pomocą inteligentnych systemów komunikacji. Dlatego moim celem są czujniki, które są bezpieczne dla środowiska, łatwe w produkcji i obsłudze, a przy tym tanie – mówi Hinduska, która po godzinach pracuje jako fotomodelka.

W Polsce badała wodę w Bałtyku, Morskim Oku oraz właśnie w Wiśle. Trudno nam sobie wyobrazić, że w naszym kraju powstanie system zarządzania wodą na żywo. Ale takie systemy już funkcjonują, choćby w kanadyjskim Vancouver lub w Nowej Południowej Walii w Australii.

– Ale czujniki to nie wszystko. One tylko ostrzegają o zagrożeniu. Stanowią tylko część historii. Następną rzeczą jest działanie lecznicze, a tutaj zadanie należy do polityków – uważa Uppuluri.

– A żeby politycy uznali zanieczyszczenia wód za problem potrzeba społecznej presji – zauważam.

– Mój ojciec pracował z wieloma międzynarodowymi organizacjami pomocowymi w Indiach. Wiele się od niego nauczyłam. I uważam, że do radzenia sobie z globalnymi problemami możemy zatrudniać wykształconych ludzi do tworzenia strategii, wdrażania planów i pisania dużych raportów. Ale prawdziwa zmiana musi być bardzo prosta, bardzo oddolna. To ciągłe edukowanie ludzi: „Hej, proszę segregujcie śmieci”, „Zagotuj wodę, zanim ją wypijesz”, albo „Umyj ręce przed jedzeniem”. W kwestii zanieczyszczeń rzek, jeśli masz długopis i papier, po prostu idź nad rzekę i zbierz dane. Świetnie, jeśli masz nowoczesną technologię. Ale kluczem jest to, żeby edukować ludzi i pokazać im problem. Żeby zrozumieli, że środowisko, a więc także i woda nie mogą dłużej czekać. Musimy je naprawiać.

### **Kilometr 100. Nauka czytania Wisły**

W przystani czeka już Zygmunt Ponikiewicz z Niepołomic. Zwany jest Zygmuntem „Setką”, bo – jak informuje tablica na nabrzeżu – mieszka dokładnie na setnym kilometrze rzeki. Mówi, że już jako dziecko nadstawiał uszu i słuchał opowieści o Wiśle.

– Byłem zafascynowany tym, jak to daleko można płynąć, jak wygląda świat za zakrętem, gdzie te wszystkie statki płyną, co przywożą i co wywożą. Czasem nawet udawało się pod szkołą wejść na statek i popłynąć w górę Wisły do domu – pan Zygmunt uśmiecha się na samo wspomnienie.

Przyjechałem do niego uczyć się czytać Wisłę. – Czytanie wody nabywa się to z czasem, ale nieodzowne są podstawy fizyki i praktycznej wiedzy. Składają się na to doświadczenia, obserwacja wody i umiejętność łączenia faktów. Widzi pan, dziś woda jest wyższa? – Co to znaczy? – Wczoraj przepływała do Krakowa pewna jednostka, dołynęli do Śluzy Przewóz i była za mała woda, żeby mogli wejść do Krakowa. Tam nocowali, pewnie będą się wodowali albo się już zwodowali. – Skąd pan wie? – Jak u mnie takie patyki płyną, to znaczy, że ktoś z góry się śluzuje. Patrzą za zakręt, aha, rzeczywiście wypływają kajaki, jak śluzują, co jest rzadkością, coraz rzadziej śluzują.

Każda minuta z Ponikiewiczem utwierdza mnie w przekonaniu, że wszystko co o nim słyszałem jest prawdą – to żywa encyklopedia wiedzy o Wiśle. Opowiada o czasach średniowiecza, gdy Puszcza Niepołomicza uchodziła za rozległe bagna trudne do przebycia, właśnie z powodu wylewającej Wisły.

Albo o Kazimierzu Wielki, który musiał rozsądzić przebieg granicy między Niepołomicami a Ruszczą, bo rzekomo chłopci jednej z wiosek mieli dokonać przekopu, by zmienić bieg rzeki.

– Znajdujemy się nieopodal ulicy Portowej, która kiedyś przez starszych ludzi była nazywana ulicą Kapitanów. Poza moim dziadkiem żyło tu przynajmniej trzech innych kapitanów żeglugi śródlądowej. To nie był zawód powszechny, a być kapitanem to była wielka nobilitacja. Zresztą to były czasy, gdy we wsi wszyscy utrzymywali się z Wisły: znajdowali pracę jako osoby pływające, obsługujące różne statki, ale też przy budowie, wzmocnieniu nabrzeży, sypaniu lub naprawianiu wałów – opowiada pan Zygmunt. Ponikiewicz pracował jako m.in. nauczyciel, pośrednik nieruchomości, prowadził też sklep przyrodniczy, ale całe życie poświęcił na badanie historii Wisły i jej wpływu na lokalną społeczność.

– Wprawne oko zauważy, że Wisła w swoim starorzeczu płynęła tuż obok mojego domu – wskazuje Ponikiewicz na dawne „wiślisko”, gdy przechadzamy się po jego działce. – Teren, na którym stoi to tak zwana resztówka byłego gospodarstwa moich pradziadków, które zostało przecięte wałem budowanym przez Austriaków w 1905 roku. Gdyby nie tamte wydarzenia z początku XX wieku to dziś mieszkałbym po drugiej stronie Wisły. Pradziadkowie dostali odszkodowania za wywłaszczenie, a wiele lat później władze komunistyczne wypłaciły też należne pieniądze panu Zygmuntowi – kupił za to stary telewizor Rubin. Zdaniem „Setki” w wyniku trendów regulowania rzek na początku XX wieku, a tak robiła przecież cała Europa, wynikają dzisiejsze problemy z gospodarką wodną. Bo ujarzmione i okiełznane rzeki straciły zdolność meandrowania, wylewania, stały się kanałami w betonowych kleszczach.

– Austriacy wyprostowali i skrócili Wisłę, a tym samym zwiększyli prędkość wody, czyli zdolność jej do wypłukiwania. Więc ona nie mogła sobie nawet przy dużym wezbraniu wyskoczyć sobie z tego koryta i zrobić sobie nowy meander, tylko została kamieniami po bokach zmuszona do tego, żeby płynąć tym rowem, który Austriacy wykopali, a później budowniczowie Nowej Huty pogłębili pobierając z dna piasek i żwir. Ta Wisła się zmieniła na przestrzeni mojego życia. Dziś Wisła toczy niewiele wody, szczególnie letnią porą. Jakiś wypadek, czy nierozważne działanie w jakimś ośrodku przemysłowym może natychmiastowo spowodować gwałtowną tragedię.

W przystani na setnym kilometrze zacumowana jest łódź pana Zygmunta i jego żony „Zoraza”, co w gwarze oznacza charakterną osobę. – Ale to niekoniecznie określenie pejoratywne. To taki ktoś, co sobie w kaszę nie da dmuchać – uśmiecha się Ponikiewicz, który „Zorazą” nie raz dołynął do Torunia lub Gdańska.

W 2015 roku wyruszył rzekami do Nowego Orleanu. Dołynął Wisłą do Bydgoszczy, potem Rdą, Kanałem Noteckim do Warty, następnie Szprewą i na południe przez Mitterland Canal do Renu, a potem Renem w dół na Holandię, przez Belgię i Ardeny aż w końcu dotarli do na festiwal Loary, by przekazać uczestnikom informację o Roku Wisły w 2017 roku.

– Prowadziłem kalendarz wyprawy. Zapisywałem, ile paliwa kupiłem, jak wyglądało spalanie i wychodzi mi, że zrobiliśmy 4 tysiące kilometrów! To niewyobrażalne, bo całe lato płynęliśmy na jednym silniczku. Na drogę nie wziąłem żadnej skrzynki z narzędziami czy zapasowych części. Tylko śrubokręt, klucz dziesiątkę, kombinerki i olej na dolewkę – opowiada pan Zygmunt. – I gdziekolwiek płynęliśmy przez Europę to napotkanym ludziom dawaliśmy ulotki o Roku Wisły. Chcieliśmy pokazać, że da się przepłynąć przez Europę, niekoniecznie jakimś wypasionym jachtem. Pokazaliśmy, że to wykonalne nawet takim „drewniakem”.

## Kilometr 312. Wisła wryta w drewnie

„Stoisz przed drzewem. I w jaki sposób stwierdzisz, ile ma ono metrów wysokości albo, czy, powiedzmy, na wysokości 11-12 metrów, nie ma sęków?” Mateusz Tabaka powitał mnie w malutkiej Basoni w gminie Józefów nad Wisłą właśnie taką zagadką. Sołectwo słynęło niegdyś jako osada skutników. Tabaka kontynuuje tradycję swoich nieżyjących już sąsiadów i jest jednym z ostatnich nadwiślańskich skutników. Mogłem tylko bezradnie rozłożyć ręce. Rozwiązanie zagadki przyszło, gdy pakowaliśmy się pod obróconą dnem jedenastometrową pychówkę, nad którą w swoim warsztacie pracuje obecnie Tabaka.

– Najlepszy jest sposób starych wyjadaczy. Trzeba podejść pod drzewo, ustawić się plecami, zmierzyć 12 kroków i zgiąć się w kroku i spojrzeć na pień. I masz dwanaście metrów – śmieje się Mateusz. – Ludzie stwierdzą, że to jakieś stare i głupie wymysły, ale ta tradycyjna metoda naprawdę działa!

Z „Biografii Wisły” dowiaduję się, że w pierwszej połowie XVII wieku na Wiśle i innych polskich rzekach pływało ok. 50 tys. osób. Jeszcze na początku ubiegłego wieku na rzece roiło się od tradycyjnych drewnianych łódek: baty służyły do transportu zboża i innych towarów, te o szerszych burtach do wydobywania piasku z dna rzeki. Bardziej smukłe pychówki stanowiły środek transportu dla rybaków i zbieraczy drewna opałowego z Wisły.

– Jak to się zaczęło z tym skutnictwem? – pytam Tabakę. – Za popchnięciem babci. Mówiła: przybij deseczkę, zrób mi furteczkę. I powtarzała: „Ty to będziesz w drewnie robił” – opowiada Tabaka. – W tym miejscu, gdzie stoimy, rósł ogromny wiąz. A pod nim moi wujkowie robili łódkę, a ja jako dziesięciolatek się przyglądałem. I tak jakoś zaraziłem się drewnem. Gdy zarobiłem pierwsze pieniądze, uznałem, że zrobię łódkę. Bo tak naprawdę chciałem mieć czym pływać po Wiśle. I tak zostało.

Po polskich rzekach pływa ponad setka łodzi, które na dziobnicy mają wypalony napis Basonia i inicjały od imienia i nazwiska rzemieślnika. Kupują je rybacy, pasjonaci rzeki, stoją zacumowane w Pułtusku, choć tam urzędnicy nazywają je... gondolami. – Powtarzam zawsze, że to żadne gondole, ale nasz polskie baty. Nie trzeba zapożyczać nazwy, upiększać historii, bo przecież nasza tradycja też może być piękna i ciekawa – mówi Mateusz, gdy wypływamy z przystanie przy jego warsztacie jedną ze zbudowanych przez niego pychówek. Płyniemy Wisłą w kierunku Józefowa, by nurzać się w pierwszych wiosennych promieniach słońca. Tabaka stara się budować łodzie w sposób możliwie tradycyjny. Nigdy nie klei wręgów, zawsze stara się znaleźć oryginalne krzywulce, czyli naturalnie zakrzywione drzewa. Próbował różnych impregnatów, ale najlepiej spisują się starodawne i naturalne: olej lniany z dziegciem i terpentyną. A najlepszym i równie naturalnym konserwantem jest smoła drzewa używana dawniej do końskich kopyt i pastowania strzemion i pasków konnych.

– A przecież to nie tylko polskie wymysły, wiele możemy uczyć się od naszych przodków, którzy żyli na długą przed naszą erą. Najlepszy przykład to drzewo księżycowe – tłumaczy Mateusz. – Gdy dawniej ktoś budował statki to tylko z drzewa ścinanego w dwóch konkretnych tygodniach stycznia, gdy jest największy odpływ z oceanów i mórz, ale też wody z drzew. Posiadają wtedy najwięcej węgla, to wręcz doskonałe drewno. I nie potrzebuje konserwacji, nie czepiają się go ani grzyby, ani robaki. Sam Tabaka buduje z sosny (tylko dwie jego pychówki powstały z modrzewi), podobnie jak dawni przedstawiciele ginącego zawodu. Wręgi, czyli poprzeczne elementy zwykle powstają z topoli. W jego

warsztacie leżakują pniaki dębowe, z których zrobi cupel (przód łodzi). Dęba, zdradza, nie tnie się od razu, bo on zasycha w pniu. Z kolei akacja wysycha w ciągu sezonu.

Słucham Mateusza i dochodzę do wniosku, że opowieść o nadwiślańskich skutnikach to też opowieść o zmieniającej się bioróżnorodności nad Wisłą. W jego okolicy znad brzegów rzeki zniknęły białe topole, coraz rzadziej spotyka się wierzby, które dawniej rosły jak szalone, bo były przycinane przez wikliniarzy, a dziś nikt we wsi już nie robi wiklinowych koszyków. Kiedyś nie było klonów, a ten gatunek inwazyjny zamieszkał nad Wisłą w wiosce skutników, a przecież z jego drewna nie da się wybudować łodzi.

– Dobrze, że wróciły bobry – konstatuje Tabaka. – Bez nich rzeka była totalnie spustoszona. Ale na szczęście są. Dlatego lubię sobie po cichutku podpływać po wiślańskie wyspy. Tu bobry, tam chrumkają dziki, tu jakiś ptaszek, tam znów rykowisko jeleni, które przeszły sobie do lasu na wyschniętym wiślisku. To mój czas relaksu, a las i woda to moje żywioły.

– A co z ludźmi. Nie odwrócili się od Wisły? – prowokuję. – Na pewno. Nie umiemy docenić tej rzeki. Ludzie się jej boją, mają jakieś dystans do rzeki, nie wiem z czego on wynika. Niekiedy zabieram turystów kajakami po Wiśle, docieramy na którąś z rzecznych wysp. I widzę, że nie dowierzają, gęby im się otwierają, zaczynają czuć niepowtarzalność tego wiślańskiego klimatu. W Polsce? Na Wiśle?” – pytają. I widzę nagle w ich oczach tę radość obcowania z Wisłą.

#### **Kilometr 507. Jak usłyszeć pieśni Wisły?**

– Jaka jest melodia Wisły? – zapytałem Małgorzatę Owczarską, antropolożkę z Uniwersytetu Warszawskiego. Badaczka zajmuje się m.in. ludami Pacyfiku i ich relacjami, a od roku wraz z zespołem próbuje uchwycić związki mieszkańców Warszawy z największą z polskich rzek. Antropolożki, uzbrojone w hydrofony, dyktafony, kamery, aparaty, nie tylko rozmawiały z napotkanymi spacerowiczami, ale i nagrywały dźwięki istot pozaludzkich. Wszystko po to, by stworzyć multisensoryczną mapę rzeki w postaci „pocztówek” z kilkudziesięciu lokalizacji na Wiśle.

Opowiadam badaczkom o Chilijce Soni Ramos, bohaterce mojej książki „Woda. Historia pewnego porwania”. Na Pustyni Atakama uczyła mnie słuchać tzw. „pieśni wody”, które wedle jej przodków z plemienia Atacamenos płyną w każdej istocie.

– No tak, tyle że my w zachodniej cywilizacji jesteśmy totalnie rozłączeni z szeroko pojętą naturą. W wypadku wody zawdzięczamy to dwustu latom, tego co Jamie Linton nazywa „konceptcją wody nowoczesnej” – mówi Owczarska. – Postrzegamy wodę jako „H<sub>2</sub>O”. Jest ona unaukowiona, wyjęta ze wszystkiego, co społeczne i przyrodnicze. Jeśli pojmujemy wodę jako związek chemiczny, który można policzyć, zmierzyć i włączyć w cykle, to dajemy sobie prawo do tego wszystkiego co z nią robimy: osuszamy mokradła, prostujemy rzeki, odwadniamy tereny bioróżnorodne. Pytanie brzmi, czy potrafimy jeszcze usłyszeć wodę? A jeśli? Zastanawiamy się wspólnie, jakie pieśni niesie Wisła.

– Z naszego mapowania wynika, że ten dźwiękowy obraz rzeki nie jest adekwatny do najczęstszego w Warszawie myślenia o podziale na prawy i lewy brzeg. Inne dźwięki słyszy się w centrum, inne na południowych peryferiach miasta, inne na północnych – dodaje antropolożka Magdalena Siemaszko, która również uczestniczyła w projekcie. – Z jednej strony słysząc bardzo dojmujące, miejskie dźwięki, jak choćby szum samochodów, czy wycie karetek, ale jest też dużo zaskakujących melodii.



Wystarczy nieco odплыnąć z centrum, a rzeka przejmuje rolę dyrygentki. Badaczki mówią z entuzjazmem, że na południu Warszawy słyszały „wilki”, czyli wibrujące w prądzie konary, które rzeka osadziła na płycznach. Zmieniają one tonację w zależności od wysuszenia drewna czy szybkości nurtu. W rezerwacie na Wyspach Zawadowskich żyje dużo zwierząt, a ludzie zaglądną tam rzadziej. Na łachach można czasem usłyszeć chrobotanie i chlupotanie bobrów zajętych budową tam czy śpiewy i skrzeki różnych gatunków ptaków. A także dzwonki i meczenie wypasanych tam kóz i owiec. Z północnych rubieży miasta zapamiętały niepokojące dźwięki kamieni, w które uderzała woda, zwłaszcza przy ostrogach, czyli betonowych „wychodzących” w rzekę. Mało jest plusków ludzi w wodzie. Ale są i dźwięki industrialne np.: rur tłoczących piaskową płuczkę, silników i śrub łodzi, metaliczne i rytmiczne łomotanie mostów, szum zrzutów z burzowych kolektorów.

– Wbrew pozorom Wisła niesie też dużo ciszy, szczególnie kiedy słuchamy z dala od tzw. „gorsetu” Wisły w centrum miasta – przyznaje Siemaszko. – Rzeka mówi nam też dużo o czasowości. Wymaga od nas dostrojenia się do zupełnie innego tempa wsłuchiwanie się w dźwiękowy pejzaż rzeki. Muzyka Wisły zmieniała się w zależności od warunków. Wystarczyło, że zmieniał się wiatr lub ciśnienie, a więc i prędkość nurtu, a już dźwięk, który wydawał prąd albo fala przy brzegu niósł nową melodię.

Zastanawiam się, czy mieszkańcy Warszawy potrafią usłyszeć pieśni Wisły. W trakcie badań antropolożki spotkały nad rzeką wielu rozmówców, zróżnicowanych klasowo i wiekowo: od plażowiczów, nudystek przez morsów, prepersów, wędkarzy, spacerowiczki, miłośników pływania drewnianymi łodziami, po uchodźczynie i osoby w kryzysie bezdomności. A jeśli tak, co im te pieśni mówią. Choćby pod filarem mostu Anny Jagiellonki, na środku rzeki, antropolożki zagadały dwóch wędkarzy, którzy zasadzili się na suma.

– Był wrzesień i niemiłosierny trzydziestopniowy upał. Podpłynęłyśmy pod betonową stopę, do której wędkarze przybili motorówkę. A na niej rozłożone były łózka polowe, wędkę, kuchenka, radyjko, wyszynk. Istny biwak. Co jest nie tak w obrazku? – pyta Owczarska.

– Niski stan wody? – Nikt nie powinien być tam w stanie spać! Wodowskaz już nawet nie wystawał z wody, tylko był wysoko nad nami. Panowie cieszyli się z dwumetrowego suma, którego na powrót wpuścili do Wisły, ale już o suszy niekoniecznie mówili. Zbierając te opowieści o wodzie doszłyśmy do wniosku, że bardzo trudno rozmawia się w Polsce o zmianach klimatu. Owszem, mieszkańcy widzą pewne zjawiska i procesy. Można z nimi pogadać o śniegu, niskiej wodzie, suszy, pyle, gorącu, burzy, która położyła zboże, powodziach błyskawicznych, ale sama katastrofa już jest w tych narracjach nieobecna.

– Ta scena pokazuje, że dla ludzi katastrofa klimatyczna jest abstrakcyjnym problemem – dodaje Siemaszko. – Zmiany klimatu stały się wytrychem, takim tematem rodzaju pop-politycznego. Ludziom łączą ją z ideologiami, ale na metapoziomie na mieszkańców bardziej działa bezpośrednie osobiste doświadczenie np. wyschnięta studnia niż np. katastrofa na Odrze, której złożoność wydaje się zbyt duża do przyspilenia.

– Zwykle trafiałyśmy na efemeryczne i subtelne obrazki, jak w przypadku pani, która narzekała, że musi przebrać bobasa, bo jest zapylony, a kto to widział pył w kwietniu. Ziemia powinna być wilgotna i błotnista, a jest sucha – mówi dr Owczarska. – W Warszawie, a duże miasta są przepiekielnie trudne dla antropolożki, nie ma jednej społeczności skupionej wokół rzeki. Wisła jest przepięknie

skomplikowana. Nie udało nam w tej wymieszanej społecznej i urbanistycznej tkance wyłonić jednej narracji, która mogłaby pokazać, o czym nam ta Wisła gra.

### **Kilometr 941,2. Co Wisła mówi o nas samych?**

A teraz obserwuję Wisłę uchodzącą do Bałtyku w Zatoce Gdańskiej. To wcale nie koniec, bo przecież ta historia zatacza koło w nieustającym cyklu przyrody. Czas na odpowiedzi na najważniejsze pytanie.

– Co Wisła mówi o nas samych? – pytałem bohaterów reportażu w trakcie naszych wspólnych wędrówek i rozmów. Strażnik rzek Paweł Chodkiewicz: – Jesteśmy brudasami, śmieciarzami, syfiarzami, pijemy zanieczyszczoną wodę swoimi własnymi fekaliami i chemią, którą spuszczaemy w toaletach. Zniszczyliśmy tę rzekę w latach komuny i dodatkowo wbiliśmy jej sztylet w plecy degradując jej dopływy. Powodujemy śmierć wielu gatunków, zaduszamy miliony, jeśli nie dziesiątki milionów ryb. Katastrofa już jest i wydarza się pod naszym nosem.

Inżynierka Kiranmai Uppuluri: – Myślę, że trudno oceniać kraj po jego mieszkańcach. Lepiej oceniać go po jego przywódcach. Najlepszą reakcją polskiego rządu po katastrofie nad Odrą było powiedzenie „Przepraszamy, popełniliśmy błąd, ale wyciągnęliśmy wnioski. Zadbamy o to, aby taka tragedia ekologiczna nigdy się nie powtórzyła”. Dziś największe obciążenie dźwigają rzeki, dźwigając ciężar przemysłu i gmin. Żyją w ogromnym stresie. Pytanie, czy będą one dla władz priorytetowe. Jeśli miałbym komentować sytuację Polski, powiedziałbym, że może być lepiej i ma ku temu wszelkie możliwości.

Szkutnik Mateusz Tabaka: – Czas, by ludzie zobaczyli, jak piękna i nieodkryta to rzeka. Zamiast kolejnych zapór potrzebujemy kontaktu z prawdziwą naturą.

Pasjonat Wisły Zygmunt „Setka”: – Jeszcze do lat 60. woda była czyściutka, brzegi były piaszczyste, więc w niedzielę po obiedzie wychodziło się z rodziną na kocyk i się biesiadowało. Tego bym życzył przyszłym pokoleniom, by choć tamtych czasów wróciła.

Bo Wisła jako królowa polskich rzek na to zasługuje.